Dodatek nadzwyczajny do „Wielkopolanina“.

OGNISKO DOMOWE.

Nr. 1. | Ognisko wychodzi raz w tydzień. Cena pojedyńczego Nru. 5 fen. | **Poznań**, dnia 1 Stycznia. | Abonenci Wielkopolanina otrzymują pismo to bezpłatnie. | **1897.**

Człowiek co szczęścia szukał.

(BAŚŃ.)

W pewnej wsi żył sobie chłop, nazywał się Jan, miał swoje pole, łąki, woły, całe gospodarstwo duże i zasobne — ale miał wielki poc ąg do karczmy i zaufanie do karczmarza-żyda. Ten mu dawał gorzałę, a tamten albo grosiwo, albo co z dobytku. I tak w braterskiej zgodzie żyli ze sobą nie rok i nie dwa; tylko żyd co roku stawał się grubszym i tłuściejszym, a chłop chudszym, żyd bogatszym, a chłop uboższym; od żyda nigdy skarga żadna z ust nie wyszła, a chłop co dnia klął i narzekał na cały świat, niezadowolony ze wszystkiego.

— Nie ma szczęścia na świecie — wyrzekał chłop.

— Nu, Janie — mówi żyd — czego wy dzisiaj taki smutny? Napijcie się wódki, to wam smutek jak ręką odejmie.

Posłuchał chłop przyjacielskiej rady, bo czemuż nie posłuchać, jak kto dobrze radzi, wypił kieliszek jeden i drugi, a potem odzywa się:

— Niema już dla mnie tutaj szczęścia! Pójdę go szukać po świecie — w tej chwili nadarzył się Niemiec kolonista, więc chłop sprzedał gospodarstwo obcemu a sam w świat poszedł. Zaszedł do sąsiada.

— Jak się macie?

— Dziękuję. Ot sobie.

— A dokąd to Pan Bóg prowadzi?

— Idę szczęścia szukać.

— Daleka droga, kiedyście go u swoich nie znaleźli.

Chłop się nieco zastanowił — jednak rzecze potem:

— Jakże to może być, ludzie na świecie mają dostatek i rozum i robią, co chcą, a u nas ani rusz. Gospodarstwo marnuje się, do żadnej roboty człowieka nie wołają, nigdzie zarobić nie można — obcy przed nami wszystko bierze — a żyd resztek dojada.

— A komuż sprzedaliście gospodarstwo, pole i łąki?

— Komuż? Obcy kupił, boć oni tylko mają pieniądze.

— Jużci że to nieszczęście, powiada sąsiad, ale dostatek przychodzi z pracą, powaga z rozumem. Nikt nie woła do wspólnej pracy robotnika hałaśliwego, kłótliwego, zawistnego, rwącego się jak koń w tabunie, nie wiadomo czego, poco, dokąd?

Chłop się rozgniewał, bo czuł prawdę tych słów, ale nie wierzył, żeby prawdziwe szczęście było tylko na glebie ojczystej. Nie kiwnął nawet głową, jeno zabrał się i ruszył piechotą do morza — tam wsiadł na okręt i dalejże do Ameryki, do obiecanego kraju szczęścia.

Ledwie się pokazał między Amerykanami, zbiegli się do niego, jak na dziwowisko. Chodzi chłop po mieście, a za nim ludzie jak za niedźwiedziem kupą. Chłop mówi po swojemu, a Jankes po swojemu; chłop skarży się, że w kraju własnym wyżyć nie może, a zimny Jankes natrząsa się z jego biedy. Natrafił nareszcie na takiego, z którym się mógł rozmówić.

— Masz jaką posiadłość? — pyta Amerykanin.

— Miałem, alem sprzedał.

— Pocóżeś sprzedał?

— Bom się w świat wybrał szukać szczęścia.

Amerykanin głową pokręcił.

— A umiesz ty czytać?

— Nie.

— Znasz rzemiosło jakie?

— Wszystko potrafię — powiada chłop.

— To źle, znaczy, że nic nie umiesz. A czegoż ty chcesz?

— Szukam szczęścia!

— Głupcze jakiś! Ty sam nie wiesz, czego chcesz — szukasz szczęścia, a lekkomyślnie je porzuciłeś. Ty jesteś marnotrawca, ciemny, nic nie umiesz, wietrznik; masz pragnienie według twego rozumu i chęci, lecz nie według możności, nie umiesz ich ani ograniczyć, ani do rozsądnych granic doprowadzić. Jesteś człowiekiem niezdatnym do żadnej rozumnej pracy. Każde pragnienie twoje niezaszczone uważasz za krzywdę ci wyrządzoną przez kogoś; ztąd jesteś niezadowolony z niczego i podsycasz się własnem niezadowoleniem jak trucizną. Pragniesz tego, czego nie posiadasz, a tego, co masz, ocenić nie potrafisz. Wracaj do domu, nie pij, nie hulaj, ucz się, dzieci wychowaj w wierze i w uczuciach ojczystych, zamiast włóczyć się za szukaniem tego, co nie zgubiłeś.

Chłop poczerwieniał ze złości — ubodło go to bardzo, bo jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że ten Jankes ma racyą, ale jeszcze zawołał:

— Psiawiara! zawiści mi, żem tu przyszedł.

Poszedł więc dalej szukać szczęścia, ale go nie znalazł, bo to nie była jego ziemia, jego kraj, nie było koło niego swojaków. Porwała go okrutna tęsknica, że wychudł jak szczapa, a czuł się taki nieszczęśliwy, aż myślał, iż go śmierć zmoże.

Tak walczył długo ze sobą i się łamał — aż wreszcie przejrzał i dopiero oddalony morzami i górami od swoich poczuł, że on szukał niepotrzebnie szczęścia po szerokim świecie, boć tam w tej biednej ziemi, którą opuścił, na tej glebie ojczystej, którą zmarnował, kwitło mu szczęście i cisnęło mu się do rąk i byłoby mu rozweseliło serce, tylko że on tego wszystkiego nie umiał ująć, nie poznał się na niem i nie zrozumiał.

— Oj — westchnął chłop — mądry Polak po szkodzie.

Zczerniał biedak od trapiących myśli, aż wreszcie poznał, że to dumanie do niczego nie doprowadzi, jeno potrzeba do odzyskania szczęścia pracy i wytrzymałości.

Wziął się tedy do pracy w dzień, a nocami gorzko popłakiwał, aż zarobił tyle dolarów, że mógł wrócić do kraju.

Przybył tu biedny i zmitrężony; zaledwo jednak odetchnął powietrzem ojczystych pól i lasów, zaledwo wciągnął w płuca orzeźwiającą woń rozkwitających brzóz i czeremch, zaraz otucha w niego wstąpiła. A lubo widział, że w tym kraju i biedniej i trudniej żyć, był szczęśliwszy, niż wśród szerokich stosunków Ameryki i wśród wspaniałych domów wielkich miast Jankesów. Tedy mówił do siebie:

— Nijako to żyć chłopu polskiemu bez wiary swojej, i swojej mowy, nijako bez téj ukochanéj ziemi, co trudziła mię pracą nad nią, ale też karmiła. Ot! niema szczęścia, ino w kraju rodzinnym, a choć nie wszystko jest dobrze w domu, ale zawsze lepiej między swoimi, jak między innnemi plemiouami.

Rzekłszy to chłop, znalazł szczęście.

(KONIEC.)

Żart kapitana.

Za W. księcia Konstantego słynął w polskiem wojsku kapitan X. z pułku ułanów, z żartów, z różnych dowcipnych konceptów, z psót i figielków, które płatał swoim znajomym. Pułk ten przechodził w czasie lata przez okolicę N., gdzie przez dni kilka dla wypoczynku miał się zatrzymać. Właściciel miejscowy powiadomiony został, że i on załogę otrzyma, a będąc nader wesołego usposobienia i zamożnym, poprosił, ażeby mu dano na kwaterę kapitana i kilku oficerów.

„Nacieszę się z nimi, pośmieję, bo kapitan musi mi płatać figle, oj musi,“ powtarzał wesoło zacierając ręce z radością. Kazał wszystko przysposobić na wygodne przyjęcie pożądanych gości, zaopatrzył piwnicę i śpiżarnię, i krzątał się ochoczo po domu, by wszędzie przestrzegać ładu i porządku. Wreszcie upragniona nadeszła chwila. Zawiały chorągiewki, połysnęły lance i poczciwy starzec na dziedziniec pospieszył, gości swoich powitał, ucałował, wprowadził do pokoju i zaraz na wstępie doskonałym węgrzynem i sutą kolacyą uczęstował.

— Szanowni i łaskawi panowie — zawołał gospodarz, podniósłszy kielich — witam was wszystkich z całego serca. Wiwat rycerze nasi! i spełnił kielich aż do dna.

Oficerowie podziękowali w imieniu wszystkich i wnieśli zdrowie gospodarza.

— A teraz — mówił gospodarz z podnieconym na licu rumieńcem — w szczególności zdrowie komendanta, zacnego kapitana. Niech nam żyje i wesołe płata figle.

Kapitan podziękował tak samo.

— A szanowny łaskawco — zawołał znowu gospodarz — pragnąłem od dawna znajomości twojej rycerzu waleczny! Wyprosiłem sobie, ażebym ciebie mógł powitać, uściskać, ucałować. Przyjmij więc, co chata ma moja, bo czem bogata, tem rada.

— Przyjmujesz nas sercem, najszanowniejszy dobrodzieju, sercem polskiem i duszą polską — odrzekł kapitan to i najszczęśliwsi jesteśmy z takiej gościny. Uściskali się nawzajem.

— Ach łaskawco — zaczął dziedzic — jeszcze mam prośbę jednę do ciebie.

— To i jakaż może być prośba? Najprzód już przyrzekam wszystko.

— Ot, żebyś mi jakiego wesołego figla wypłatał.

Roześmiali się wszyscy.

— Dowcip twój słynie, słyną żarciki twoje, a ja namiętnie lubię takie wesołe koncepty. Mój łaskawco jedyny, proszę o jaki dobry figiel.

— To dobrze, kochany dobrodzieju — odrzekł kapitan — uczynię, co potrafię, ale nie zawsze to usposobienie bywa po temu.

— Usposobienie? — przerwał mu dziedzic — czy masz, kochany kapitanie, jakie kłopoty?

— Każda Teresa ma swoje interesa — dobrodzieju kochany. — To koń zakuleje, to przyjaciel zawiedzie, wierzyciel naciska, w karty się przegra.

— E, drobnostka to wszystko, chyba tylko fraszki dla ciebie — zawołał dziedzic — koń wyzdrowieje, a jeśli nie, to pal go w łeb. A co do reszty, to... gdybyś kiedy, — zarumienił się, — to tego.... kapitanie, to.... jak to czasem..... tam tego.... potrzebował. To i.... sięgnę do mojej kieszeni.

Uściskali się znowu, ucałowali i kapitan przyrzekł, że jeżeli tylko zdoła, to spłata jakiego figla, z którego gościnny gospodarz pośmieje się trochę.

Wieczorem długo siedzieli ze sobą przy herbacie, po wyśmienitej kolacyi prawili i gawędzili. Kapitan dowcipkował, koledzy różne jego opowiadali psoty, że dziedzic zanosił się od śmiechu aż mu łzy z oczu spływały. Wreszcie udali się na spoczynek.

Gospodarz odprowadził gości do ich pokoi, a potem w swojej komnacie odprawił modły wieczorne, ażeby uczynić zadość obowiązkom katolika. Zaledwo pół godziny upłynęło, gdy wbiega Tomek woźnica, blady, przerażony, i załamując ręce, ze łzami wybełkotał.

— Jaśnie Panie!... o Jezu! Jezusinku toć nam konie ukradli!

— Co ty gadasz? — wrzasnął dziedzic — śnisz, czy co?

— A dałciby Niebieski — zawołał Tomek i znowu załamał ręce — ale dyć je ukradli. O Jezu! o Jezu!

— Do stu dziadów, a gdzieżeś ty był? — grzmocił dziedzic zniecierpliwiony.

— Oj Jaśnie Panie — odrzecze Tomek, złożywszy dłonie ze skruchą — ułani oj za bramą różne tam wyprawiali figle i pogapiłem się z drugimi... Jezu mój, Jezu!

Dziedzic głowę zawiesił i już nie łajał. Bo i jakże miał łajać. On sam słuchał żarcików kapitana i oficerów, to i Tomek popatrzał się na żołnierzy.

— Potrzeba szukać, gonić! — zawołał nagle dziedzic. — Jutro jest jarmark w X.

— O juści, juści Jaśnie Panie. Pewniusienko tam z niemi popędzili.

— Chodź. — Dziedzic pobiegł do pokoju kapitana, który zabierał się do spoczynku.

— Kapitanie, łaskawco jedyny, kochany, ratuj.

— Cóż się stało, Dobrodzieju. Co się stało?

— Konie mi ukradli.

— A to historya — wyrzekł z oburzeniem kapitan — przecież są moi ułani.

— Byli za bramą, tam się bawili, a tymczasem złodzieje od tyłu konie uprowadzili.

— Nieszczęście! serdecznie jestem zmartwiony, kochany Dobrodzieju.

— Przyszedłem z prośbą do ciebie, kapitanie, ażebyś mi pozwolił koni swoich i ze dwóch ułanów do pogoni, byśmy złodziei może dopędzić potrafili. W miasteczku jest jarmark.

— Usłużę ci z całej duszy, kochany łaskawco. Masz moje własne konie. Ale wybacz, ułanów dać nie mogę, bo to się sprzeciwia regulaminowi.

— No, no, to mniejsza. Daj mi tylko łaskawco dwa konie, wsiądę na jednego, a na drugiego Tomek.

— Jakto, Dobrodzieju, sam chcesz pogonić?

— Nie inaczej, najlepiej to każdy sam własnego dopilnuje interesu.

— Wielka prawda, ale zmęczysz się bardzo.

— To i co? pójdzie na zdrowie, byle tylko znalazły się szkapiny.

— Ależ pospiech potrzebny. Hej, Antoni! — zawołał na służącego — niechno tam Pazdralski natychmiast okulbaczy moje dwa wierzchowce i przyprowadzi... Dobrodzieju, tylko mi ich nie bardzo zmachaj.

— Daję słowo, że ich nie zniszczę, a dziękuję ci z całej duszy, kapitanie. Zabiorę się w tej chwili. — Dziedzic ucałował go serdecznie.

Wybiegł, krzyknął na Tomka, Pazdralski konie przyprowadził, dosiedli ich i pogonili ku miasteczku. Noc bardzo ciemna, do miasteczka dobre dwie mile, pędzili co tchu starczyło, i dziedzic zapomniał, że przyrzekł koni nie zmęczyć.

Należało powiadomić burmistrza, by wszelką policyjną zarządził baczność. Nadto chcieli tu i owdzie po stajniach i zajazdach popatrzeć. Tymczasem dnieć poczęło, zanim do miasteczka dojechali. Pędzili bez wytchnienia, w tem odezwał się Tomek:

— Dobrodzieju!

— A co tam?

— Jaśnie Panie, iście jakby na naszej jechał kobyle.

— Co ty pleciesz? — obejrzał się dziedzic na niego. — A do stu dziadów — zawołał nagle i zatrzymał konia — toćże ty niby na białonóżce siedzisz. — Dziedzic zsiadł i Tomek zeskoczył, konie były spienione i mocno piersiami robiły.

— Chryste Jezu! Jaśnie Panie — zawołał Tomek składając dłonie — toćże to widzi Bóg, nasze właściwe konie ukradzione.

Dziedzic zadumał się, pokiwał głową, przyjrzał się koniom, poklepał je, znowu głową pokręcił, a potem głośnym wybuchnął śmiechem. Tomek zdziwiony spojrzał.

— O kapitanie, figlarzu! Czego chciałem to i mam — dziedzic pośmiał się znowu — bodajcie Bóg miał w Swojej opiece. Dalejże Tomku, napowrót, niech jednak konie wysapią się trochę — pogłaskał i poklepał je z pieszczotą.

— Co też to — rzekł Tomek, drapiąc się w głowę — żeśmy to na swoich koniach za ukradzionymi końmi gonili? Czy tu jakie czary?

— No dalejże — dziedzic dosiadł kobyły, Tomek wskoczył na białonóżkę i nuże napowrót. — A wolniej, wolniej — powtarzał dziedzic — niechaj ochłodną.

Dzień był jasny, gdy w dworze stanęli. Wybiegł na ich spotkanie kapitan, za nim oficerowie, a wreszcie ułani.

— Dobrodzieju — woła kapitan — wybacz, daruj!

— Oj, oj, figlarzu — pogroził mu dziedzic zsiadając i dobrodusznym wybuchnął śmiechem.

— Dobrodzieju, a konie zziajane — głaskał je kapitan.

— Bodajże cię Bóg kochał — zawołał tenże — żeby mnie w tak ciemną noc wysłać na rozstajne drogi, by na własnej kobyle gonić złodziei.

— Łaskawco kochany i dobrodzieju! — objął go kapitan oburącz, — toć że chciałeś figla, żądałeś koniecznie, prosiłeś, a mnie inny nie nawinął się koncept.

— Bóg ci zapłać i za to — dziedzic w obadwa ucałował go policzki, że aż klasnęło — bo unieśmiertelnisz mnie chyba swoim konceptem, gdy go wszędzie będę opowiadać. A jeszcze i gotów kto kiedy napisać. To też wskutek tego sproszę jutro sąsiadów i ucztę kochanemu kapitanowi się odwdzięczę.

Tylko mnie już podobnie drugi raz nie wywiedziesz w pole, łaskawco.

— Wybacz, wybacz kochany Dobrodzieju.

— I zajrzyj czasem do mojej chaty za karę. Ułanów także uraczę, bo oni pewnie w zmowie byli.

— Niech żyje pan dziedzic — zawołali jednogłośnie żołnierze. — Wiwat, niech żyje!

ROZMAITOŚCI.

Kielich. (Legenda biblijna.)

— Czy to jest prawdą, powiedz, matko droga,
Że tam wysoko, tam, u tronu Boga,
Nad obłokami, wśród chórów anielich
Stoi od wieków wielki, święty kielich?
I że za każdem nieszczęściem i troską,
Co nas spotyka — ten kielich łzą boską
Wciąż się napełnia? a gdy po krawędzie
Cały już łzami wypełniony będzie,
Wówczas nastąpi przyjście Mesyasza,
Którego długo czeka ziemia nasza?

— Tak, rzecze matka, wierz mojemu słowu.
Zamilkło dziecię, lecz po chwili znowu,
Objąwszy matkę rękami obiema,
Pyta: Czy może ten kielich dna nie ma?
Od wieków w niego łzy boskie spływały;
Kiedyż nareszcie wypełni się cały?
I długo, długo wyczekuje w ciszy,
Lecz odpowiedzi już żadnej nie słyszy.
Więc trwożnie spojrzy w smutne matki oczy
I widzi: łza się po jej licach toczy.
O, matko! rzecze: niechaj i ta cicha
Lza — do świętego upadnie kielicha.

J. Klemensiewicz.

Dla zdrowia.

Żona: Ależ mężu! Całe dni trawisz teraz przy bilardzie!

Mąż: Moja żoneczko, wiesz dobrze, że lekarz na słaby wzrok poleca mi ciągły pobyt wśród zielonych pól i lasów — w zimie, jak wiesz, nie ma zieloności w naturze, więc patrzę ciągle w zielone sukno bilardu i prawie nie uwierzyłabyś, jak mi to na wzrok pomaga...

Jeśli pragniesz, piękna pani,
Komuś stworzyć niebo małe,
Miejże serce, co pamięta
Długo, choćby wieki całe.
Jeśli jednak sama poznać
Chcesz, co szczęścia jest godzina,
Miejże serce, co pamięta,
Lecz z łatwością zapomina.

Ogromne wysilenia.

O północy bibuła, należycie zalany, dowlókł się do narożnika ulicy i wzdycha: ach, jeszcze trzy kamienice mam do przebycia — a będę w domu.

„Celny“ strzelec.

Wystawcie sobie, jaką przykrość mieliśmy wczoraj na polowaniu, panu radzcy zdarzył się nieszczęśliwy przypadek...

E, co tam, ile razy pan radzca jest na polowaniu, zawsze się zdarzają innym nieszczęśliwe wypadki.

„Uczciwa“ wyprzedaż.

Dawid: Panie pryncypale! jaką cenę podać na tę bluzkę, która kosztowała 4 marki?

Pryncypał: Można napisać: kosztowała dawniej 6 marek, a teraz cztery i pół.

— Powiedz mężu, czybyś ty się był istotnie zastrzelił, jak pisałeś, gdybym była ci dała odmowną odpowiedź na twoje oświadczyny?

— Naturalnie! Aż z czterech fabryk broni poprosiłem o prospekty na rewolwery.

Okruchy myśli.

Kto nogami chodzi po ziemi, a głowę trzyma w obłokach, temu zawistni tylko po odciskach deptać mogą. Jest to nieprzyjemne, ale szkodzić nie może.

Oszczerstwo po człowieku uczciwym spływa, jak woda po kamieniu: obmywa go, ale nie kala.

Człowiek głupi a wpływowy jest jako trąba mosiężna: gra, jak go nadmą.

Artysta, który jest zupełnie zadowolony z najdoskonalszego ze swoich dzieł, przestaje być artystą.

Kto szuka serca w sali balowej, podobny jest do prostaka, szukającego dzieł sztuki w warsztacie kamieniarskim.

Coś i nic.

Podobno lepsze coś, niż nic, jednakże nie ulega wątpliwości, iż z niczego często można zrobić coś.

Bywają np. ludzie, którzy nic nie mają w głowie, a jednak, jeżeli los dał im bogatych stryjów, dziadków, zamożne ciocie i babki, czas i protekcya robi z nich coś.

Człowiek, który w sumie zalet moralnych ma okrągłe zero, t. j. nic, może przy dobrej woli zrobić coś, t. j. conajmniej łajdactwo.

Niekiedy nic jest lepsze, niż coś: np. lepiej jest nie mieć nic, jak ból zębów.

Niekiedy nic staje się źródłem fortun milionowych; jeżeli chcecie żywych dowodów, spytajcie na giełdzie o panów, którzy wierzycielom swoim oświadczyli, iż nie mają nic.

Fraszka.

Dumałem, sprawiedliwość skąd płynie człowiecza!
Wtem, patrzę, garść chłopaków bawi się i sprzecza!
„Trzeba zrobić trybunał — najsilniejszy powie —
Ja będę trybunałem i koniec“.

Na zdrowie!

M Rodoć.

Nakładem i drukiem Fr. Chocieszyńskiego w Poznaniu. — Redaktor odpowiedzialny (w zast.) Józef Szmyt w Poznaniu.